

ojcowie  
*i*  
matki



Anna Lutosławska-Jaworska



ojcowie  
*i*  
matki



Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2017  
© Anna Lutosławska-Jaworska, 2017

Redakcja: Zofia Smęda  
Korekta: Dariusz Godoś  
Projekt okładki: ChapterOne.com.pl  
Opracowanie graficzne: ChapterOne.com.pl  
Ilustracje na okładce i w tekście  
Anna Lutosławska-Jaworska

ISBN 978-83-277-1299-8

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl  
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA  
tel. 12 62 93 260  
e.wydawnictwowam.pl

druk: EKODRUK • Kraków

Mojemu Synowi





## Wstęp



Dlaczego napisałam książkę *Ojcowie i matki*?  
Moje spotkania z ludźmi, czy to na dłuższej trasie  
w pociągu, czy w czasie pobytu w szpitalu, owocują  
potem w zapiskach. Nie mogę się wyzwolić z czy-  
jegoś losu, nie mogę zapomnieć oczu, ust, dłoni,  
emocji opowiadającego historię rodzinną. Czasem  
to jest budujące, czasem tylko współczuję.

Dziękuję rozmówcom za ich szczerość. Zmie-  
niam oczywiście imiona i drobne realia towarzyszące  
wydarzeniom.

Nie plotkuję, daję do myślenia.

*Anna Lutosławska-Jaworska*





# Chusta mamy



## Spotkanie pierwsze

Telefon.

– Dzień dobry. Mówi Karolina Jagło. Czy pani Anna Lutosławska?

– Tak, słucham panią.

– Czy znalazłaby pani dla nas pół godziny, może raczej godzinę?

– Tak, oczywiście. W jakiej sprawie?

– Rodzinnej.

– Proszę jutro o dziesiątej rano. Czy to możliwe?

– Tak. Dziękuję. Będę z bratem Jasiem.

Przyszli punktualnie. Ona rosła, ładna. On drobny, o niezwykłych oczach.



– Napijcie się czegoś?

– Pachnie przegotowanym mlekiem – mówi Jaś.

– Rzeczywiście, dostałam prosto ze wsi. Pyszne.

Już nalewam.

– Mnie proszę do kubka!

Jaś jest dosyć dorosły, ale spodobała mi się jego dziecinna szczerłość.

Pijemy to mleko bardzo ciepłe. On obejmuje kubek lewą dłonią i z nabożeństwem pije powoli. Po krótkiej ciszy Karolina wyjmuje z torebki zeszyt.

– Najlepiej będzie, kiedy przeczyta pani te zapiski, będzie nam łatwiej wrócić do moich wspomnień. A pani zrozumieć.

Otworzyłam nieco zniszczony zeszyt i na pierwszej stronie znalazłam zapisaną dziecinnym pismem informację: „Ten zeszyt ukradłam w kuchni. Będę w nim pisać, co się dzieje. Dla mamy i taty”.

– Pisałaś to jako dziecko.

– Tak. W łagrze w Rosji.

Poczułam się nieswojo. Mój ojciec był na Syberii, ale nie wiedziałam, że w łagrach były dzieci?! I to polskie.

– To są wasze przeżycia. Czy jesteś pewna, że mogą to czytać? Co mama na to?

– To mama wskazała mi panią.

– W porządku. Ale tu jest zaledwie kilka dialogów.

– Bo najmniej pamięta się to, co ktoś powiedział. To znaczy ważne słowa zostają w pamięci, ale potoczne rozmowy z czasem się zamazują. Czy mogę pani naświetlić sytuację, w której to pisałam? Albo nie. Zacznę krótko od tego, skąd myśmy się wzięli na świecie.

Sympatycznie i ciekawie to mi zabrzmiało.

– Moja mama jest spod Gorca, ze Szczawy, tata z Nowego Sącza. Oboje kończyli studia. Mama w Krakowie pedagogiczne, tata podchorążówkę. Mama zaprosiła koleżankę z Torunia na wycieczkę w góry, takie łatwiejsze, właśnie Gorce, a tata kolegę z Gdyni – też nigdy nie wędrował po górach. Szli różnymi szlakami i spotkali się na szczycie. Chłopcy wojacy mieli lornetkę, dziewczyny pyszne ciasto drożdżowe. No i tak się poznali. Podobno schodzili z gór innymi szlakami i w innym składzie.

– Domyślam się, że na dole spotkali się przed zachodem słońca.

– Tego nie wiem. Ale wiem, że po dwóch miesiącach był ślub moich rodziców. Alina i Szymon – państwo młodzi, a drużbowie: Edek z podchorążówki i Gosia z Torunia. Lubię o tym opowiadać, bo podoba mi się taki początek małżeństwa.

Rozbrajająca ta Karolinka.

– Co studiujesz, Karolinko?

– Italianistykę. Pierwszy rok. Miałam dwa lata, gdy urodził się Jaś. Mieszkaliśmy w Przemyślu, bo tam stacjonował oddział taty. Mama uczyła w szkole powszechnej historii i geografii. Wakacje spędzaliśmy w Szczawie, a trochę nad morzem. Dwudziestego piątego lub dwudziestego szóstego tata został powołany do Gdyni.

– Jakiego dwudziestego piątego?

– Przepraszam. 25 sierpnia 1939 – to dla mnie oczywiste. A my poszliśmy 1 września w naszym pięknym Przemyślu nad Sanem do szkoły – ja do piątej, Jaś do trzeciej klasy. Tata wysyłał depesze, mama była bardzo zdenerwowana. Kiedyś zawiesiła nam na szyi medaliki chrzestne, do jakichś huculskich woreczków włożyła nasze legitymacje szkolne, grzebienie, pieniądze – nie pamiętam ile, mało, i chusteczki do nosa. Wszystko to położyła na półce. Nic nie rozumieliśmy. Wiedzieliśmy, że zaczęła się wojna, ale nie w Przemyślu. Jaś mówił pewnym głosem: „Mój tato jest porucznikiem, będzie rozkazywał, nie strzelał”. Mama wyjaśniła mu, że wojna to nie zabawa i mamy się modlić zawsze wieczorem, żeby Anioł Stróż opiekował się tatą.

– Czy Anioł Stróż był wam bliższy niż inni święci?

– Zdecydowanie. Tutaj, w tym kradzionym zeszytcie, znajdzie pani rozmowę z Jasiem w tej sprawie.

– No właśnie. Jak udało ci się ukraść czysty zeszyt w kuchni w łagrze?

– Trochę pomagałam przy roznoszeniu chleba, i jak nie było podkuchennej, wypatrzyłam ten zeszyt. Jednym ruchem pod sweter. Byłam jeszcze płaska, to nie sterczał, ha, ha... I miał tylko jakieś trzy czy cztery cyferki. „Nic ważnego – pomyślałam – a dla mnie skarb”. Kiedyś na dużym papierze pakunkowym narysowałam kota, który kręcił się po podwórku, pokazałam kucharce (ważna osoba!), a ona mówi: „Dostaniesz kubek mleka dla brata, jak dorysujesz mysz”. Dorysowałam sto myszy, żeby tylko dostać to mleko. Mleko było dla personelu, nie dla nas. Kiedy przyniosłam ten kubek Jasiowi, to wprawdzie wąchał je jak piesek.

– Mój ojciec też był w łagrze i przez dwa lata schudł dwadzieścia kilogramów. Ale nie chciał wspominać tych lat, bo kiedy po powrocie opowiedział mi o kurzej ślepotce, to ja się rozplakałam. Wiózł po kładce ciężkie wory na taczce, zmylił drogę i spadł razem z tymi worami. Po zachodzie słońca bardzo źle się widzi.

– Tak, wiem. My rozplątywaliśmy sznurki, sznuruczki, nawet powróśla.

– Wciąż nie wiem, jak to się stało, że was wywieźli.

– Kiedy Sowieci wkroczyli do Polski, wywozili przede wszystkim rodziny wojskowych i policjantów. Mama miała przygotowane dla nas małe plecaki.

– Ja nie miałem plecaka i uparłem się, że lepiej będzie mi służył mój tornister. Był sztywny i kiedy wpakowało się do niego te swetry, buty, to mogłem na nim usiąść. Oczywiście, nie przewidywałem tego, ale to się stało. Karolinko, ja opowiem o dworcu, dobrze?

– Jasne.

– Na dworcu trzymaliśmy się mamy, ubrani w kurtki, choć było gorąco. Wszyscy mieli na sobie jakieś ciepłe ubrania, bo kiedy nas zabierali z domów do ciężarówki, to było widać, że szybko tu nie wrócimy. To wiedziały mamy. Tato i inni wojskowi byli na froncie. Na dworcu stoimy, czekamy, co dalej. Nagle strażniczki energicznie odrywają nas od matek, ciągną na inny peron, my wrzeszczymy, matki biegną za nami. Pamiętam to bardzo dobrze. I kiedy byliśmy już oddzieleni od mamy, ona rzuciła zwiniętą chustę góralską ze Szczawy. I to właśnie ja złapałem tę chustę, jak dużą piłkę. Była z nami cały, cały czas. Bez niej być może nie przeżylibyśmy tego piekła.

– O niej piszę też w zeszycie.

– Wiem, że rozplątywaliście kłęby sznurków.

– Były tam ogromne ilości sznurów. I te mnie najbardziej zainteresowały. Przypomniałam sobie jakąś bajkę o zamkniętej w wieży królewnie, dzielnym rycerzu i drabince sznurowej. „Zrobię drabinę sznurową i uciekniemy stąd” – pomyślałam.

– Jeśli mi powiesz, że sama uplotłaś drabinę z tych sznurów, to urośniesz w moich oczach do rangi bohaterki.

– To nie było bohaterstwo. Robiłam ją prawie całą wiosną, czyli około trzech, czterech miesięcy. A co było najistotniejsze? Ukrywanie tego zbrodniczego przedmiotu. Musiała być długa przynajmniej na dwa metry.

– Tylko dwa metry?

– Tak. Kiedyś malowaliśmy, chyba wapnem, od wewnątrz mur, za którym żyliśmy. Jaś krzyknął (o wiele za głośno): „Tu jest wyrwa w murze!”

– Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Taki mały szczur coś tam gada. A ja wypatrzyłem, że ta wyrwa to coś ciekawego. I rzeczywiście. Proszę sobie wyobrazić wyraźne pęknięcie od góry do dołu, a na szczycie pęknięcia ubytki, i co ważne, bez drutu kolczastego. Zerwał się. Stałem jak zaczarowany i na drugi dzień zaprowadziłem tam Karolinę.

– Byliśmy tak podnieceni tym rozwalającym się murem, że o niczym innym nie rozmawialiśmy przed zaśnięciem.

– A współwięźniowie nie słyszeli szeptów? A w ogóle to jak porozumiewaliście się z otoczeniem?

– Los nam pomógł. Jeszcze w Przemyślu w szkole siedziałam w jednej ławce z Darią. Była Ukrainką po matce, Polką po ojcu. Mówiła świetnie oboma językami. Ona nauczyła mnie i mówić, i czytać cyrylicę. Tak zwyczajnie, jak dzieci uczą się od siebie, bez przymusu, w zabawie, piosenkach, przysłowiach. Przydało mi się to niezwykle! Rozumiałam rozkazy, niebezpieczeństwo, umiałam o coś prosić czy nawet rozbawić kucharkę! To było ważne!

– Ja nie mówiłem po ukraińsku. Od dzieci w łagrze nauczyłem się mówić po rosyjsku. Takie dosyć proste zdania.

– Ty miałeś takie oczy, w których można było czytać jak w książce, ha, ha, ha.

– I teraz masz fascynujące spojrzenie.

– Nie czarujcie. Przepraszam.

– To ty, Jasiu, czarujesz tym spojrzeniem. A wiesz, jaki masz kolor oczu?

– Brązowe.

– Jak miód spadziowy albo ciemny bursztyn, mienią się niepokojąco.

– Zamykam i będzie spokój.

– Czy dziś zdążymy w opowiadaniu do wyrwy w murze? Boję się, że ją zamurują.



- O! - to było zmartwienie. Ale zdążyliśmy.
- Zjemy może obiad. Domowy lepszy niż stolówka akademicka.

### Spotkanie drugie

Karolina i Jaś przyszli o umówionej godzinie jacyś uroczyści. Przynieśli bukietek fiołków, czym mnie rozczulili. Rozgościliśmy się przy stole, bo okazało się, że ich mama, pani Alina, dała im stary album fotograficzny, by mi go pokazali. Prawdziwy, przedwojenny, oprawiony w aksamit, dosyć gruby. Położyli go na stole. Dziś nie było mowy o żadnym mleku, tylko wspomnienia z dawnych lat. Miałam pewne opory, ale przecież to ich mama wpadła na ten pomysł.

Zdjęcia oczywiście były czarno-białe. Jedne większe, inne małe, są nawet portrety. Patrzą na mnie pogodne twarze. Alina ze Szczawy nie ma wyraźnie góralskiej urody. Ale co to w ogóle znaczy? Żywe spojrzenie, szeroki uśmiech, pełne usta. Ładna. Tata w mundurze – piękny. A widzę, że Jaś ma jego oczy. Milczę, bo ciężko mi przelknąć wzruszenie. Znam trochę ich losy. A właśnie, miałam pytać o wojenne losy pana porucznika.

– Czy wasz tato dostał się do niewoli niemieckiej?

– Tak. Był w oflagu jenieckim koło Lubeki. Pisał listy do swojej matki, naszej babci, do Nowego Sącza, z prośbą, żeby dzieliła się wiadomościami z nami i mamą.

– Jak to dobrze, że nie wiedział, że zostaliście wywiezieni. I to każde osobno, żona „lesorub”<sup>1</sup>, a wy gdzieś w Uzbekistanie. Wrócił. I to jest najważniejsze. Teraz proszę przewodnik po zdjęciach.

To była piękna godzina. Karolinka pamiętała więcej szczegółów, zresztą niektóre zdjęcia były opatrzone datami, a Jaś robił uwagi z pozycji malucha. Czasem dowcipne. Na jednym zdjęciu rodzice bardzo elegancy. Szymon po cywilnemu. Alina w długiej sukni. Zaintrygowało mnie to.

– Moi rodzice wyjeżdżali do Lwowa do teatru na ważne przedstawienia. Wtedy jechali na premierę *Dziadów* Adama Mickiewicza. Uwiecznili to na tle teatru.

– To słynne przedstawienie Leona Schillera. Najwidoczniej byli teatromanami.

– Tak. Jeździli do Lwowa, bo tam był znakomity teatr, świetni aktorzy, a w Przemyślu duży, o ile wiem, ruch amatorski, ale czy był teatr stacjonarny, zawodowy, nie wiem. Zapytam mamę.

---

<sup>1</sup> Lesoruby – brygada więźniów pracująca w lesie przy wycince drzew.

Album. Karolinka i Jaś – wzrastanie – od golasów leżących na futerku pupcią do góry aż po pierwsze tornistry w drodze do szkoły.

Tym razem podałam tylko herbatę. Miałam wreszcie chwilę wolną od prób i spraw rodzinnych i poczytałam te minidialogi z zeszytu Karolinki. To dobry pomysł, nie opisywać, a zanotować dialog. Miała tylko ten zeszyt, tak ryzykancko ukradziony, i ten ich nocny spisek zupełnie nie został przez nas omówiony. A przecież od tego zaczyna się ich wędrówka.

Jaś chodzi do liceum w Przemyślu, za rok matura, nie mogę go absorbować. On się rwie do tych rozmów ze mną i jego udział jest ważny, ale chyba we dwie przysiadzimy, aby porozmawiać na ten temat w mój wolny poniedziałek.

### Spotkanie trzecie

Karolinka przyszła wesoła, bo zdała kolejny egzamin aż na piątkę. Nie wyciągnęłam wina, bo nie „rozpija się” dzieci, ale szarlotka wystarczyła.

– Czy po tej szeptanej umowie ruszyliście od razu?

– O... nie. Okazja nadeszła w porę, bo mur jeszcze nie był naprawiony. Było to świętowanie 1 Maja.

Podobałoby się pani, apel krótki, w odróżnieniu od innych, międzynarodówka, grochówka na obiad, strażnicy bez broni posypiali pijani, gdzie się dało. Wzięłam więcej chleba ze stołówki i zawinęłam go w moją chusteczkę na głowę. Oczywiście, ani legitymacji, ani medalików nie oddali. Na tyle pijani nie byli. Ale zebraliśmy się na odwagę i tuż po zachodzie słońca wyszliśmy poza baraki. Zarzuciłam drabinkę tak, żeby się mocno trzymała, i kazałam Jasiowi wyjść na górę. Jak on się cieszył! „Stoisz tam pewnie?” – kiwał głową, bo to i cicho, i szybko trzeba było zrobić. Ja wyszłam, przerzuciłam drabinkę na zewnątrz. Na tej cegle trzymała się mocno. Zeszłam pierwsza, żeby wiedzieć, jak tam jest. Była trawa. Na tyle nisko, że mogłam zeskoczyć. Daję znak Jasiowi – schodzi. Jesteśmy razem, on ściska mamy chustę. I nagle przeżenie: drabinka zwisa i będzie ślad ucieczki. Zwisa co prawda po wolnej stronie. Nie mogliśmy jej odebrać ze szczytu wyrwy. Było to konieczne. Udało się.

– Czy uczucie wolności poczuliście od razu?

– Wolności nie, ale radość, że jesteśmy za murem.

Tak. Radość, i zarazem lęk. Nie baliśmy się ciemności, ale myśleliśmy, co robić dalej, żeby nas nie znaleźli. Wiedziałam, że kolej jest dosyć blisko, bo kiedy rok temu (czy więcej?) wyszliśmy wreszcie z tych bydlęcych wagonów, to szliśmy nie tak długo do obozu.